

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje.

Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmuje się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

GOSPODARKA FINANSISTÓW WARSZAWSKICH.

(SERJA III.)

VII.

Odbyte ostatnimi czasy, w niektórych instytucjach finansowych, „posiedzenia ogólne“, nasunęły nam parę uwag, kwalifikujących się pod rubrykę niniejszą, którą poniekąd już za stałą uważać nam wypada.

Gospodarka finansistów warszawskich, którą czytelnicy „Roli“ mieli sposobność poznać z całego szeregu artykułów poprzednich, — gospodarka ta, mówię, jest u nas tak rozgałęzioną, a rozgałęzieniem swoim dotyka tylu najżywotniejszych interesów ogółu i — wyrażając się językiem „Głosu“ — tak już przywykła wszystkie te interesa „podporządkowywać“ pod interes swej kliki, że niepodobna nie mieć jej ustawicznie na oku. Owszem, śledzić bacznie wszystkie jej kroki, zwracać uwagę na każdy jej manewr, kontrolować, słowem, wszystkie jej ruchy i zapędy, zmierzające ostatecznie do wyssania ostatnich sił narodu na korzyść jednej kasty, uważamy za najprostszy obowiązek organu, dla którego jedynym panem są przekonania jego redakcyi, a jedynym hasłem w sprawach i stosunkach społecznych — odsłanianie rzeczywistości p r a w d y.

Owóż, z powodu, powtarzamy, odbytych ostatnimi czasy „posiedzeń“, chcielibyśmy wypowiedzieć słów kilka, nietyle o samych tych posiedzeniach, — ile raczej o ogłaszanych drukiem „sprawozdaniach rocznych“.

Dość często mówi się o bierności i martwocie tych zebrań, o bezprzykładnej obojętności członków względem swych instytucyj, i wszystko to jest prawdą. Wszakże, obok tchórzostwa ogromnej większości stowarzyszonych, wobec kliki trzymającej ster spraw kredytowych i w ogóle finansowych w wszechwładnym swoim ręku, do tej milczącej apatyi, jaką po większej części widzimy na zebraniach ogólnych, przyczynia się w znakomitym stopniu przedziwna ogólnikowość i niejasność sprawozdań.

Sprawozdania figurują zawsze na pierwszym planie „porządku dziennego“ danego „posiedzenia“, one też stanowią mając najgłówniejszy przedmiot narad zgromadzających się raz do roku członków, a jednak poważniejsza i ściślejsza jakaś dyskusya, przy zatwierdzaniu tych sprawozdań, wywołuje się niesłychanie rzadko. Dziwić się temu tak bardzo nie należy, gdyż są one układane w ten sposób, że tylko człowiek bardzo dobrze wtajemniczony w wewnętrzne sprawy instytucyi mógłby się z nich czegoś dowiedzieć. Dla większości sprawozdania pozostają lamigłówką cyfrową,

dla odgadnięcia której potrzebaby być, jeżeli już nie „finansistą fachowym“, to przynajmniej szczęśliwym posiadaczem równej dozy tego „rozumu delikatnego“, jaki w lamigłówe tej tkwi.

Niepodobna nam tutaj wykazywać szczegółowo tych różnych niejasności dokumentów, mających przedstawiać obraz działalności danych instytucyj. Ile bowiem jest w sprawozdaniach pozycyj, tyle niemal musielibyśmy postawić znaków zapytania i przy każdym z tych znaków nad inną zastanowić się kwestyą. Żeby jednak zarzut nasz nie mógł być nazwany gołosłownym, weźmiemy parę choćby przykładów.

Prawie w każdym z owych sprawozdań spotykamy pozycyę: „odpisano na straty“, lub pozycyę: „należności wątpliwe“. Są instytucye, w których pozycyę te wypełniają cyfry wcale poważne, reprezentujące nie jakieś setki rubli, ale tysiące i dziesiątki nawet tysięcy, a jednak przy tych cyfrach nie znajdujemy bodajby słówka objaśnienia. Z jakich to mianowicie sfer pochodzą owi wątpliwi i „niewypłacalni“: z handlujących, rzemieślniczych, przemysłowych, czy nareszcie ziemiańskich, — kto to mianowicie zarywa instytucyę i okrada jej uczestników, składających bardzo często grosz krwawo zdobyty — o tem sprawozdania... milczą.

Nazwisk — odpowiedzą nam — nie możemy wymieniać. A dlaczego? — jeżeli wolno zapytać. Dlaczego np. bankrut, którego „upadłość“ ogłoszoną została urzędownie przez trybunał handlowy, nie może być unieśmiertelnionym i w sprawozdaniu instytucyi, którą zdążył zarwać? Sprawozdania przecież, nietylko nie podają tych nazwisk, ale nawet nie wspominają, ilu takich rzetelnych i solidnych dłużników instytucyi, złożyło się na daną cyfrę „odpisanych strat“. Przyczyniłże te straty jeden, owóch, dziesięciu, czy też więcej takich — niewypłacalnych?

W sprawozdaniu za rok 1885 jednej z instytucyj kredytowych, opartych na wzajemności, w rubryce o d p i s a n y c h s t r a t, figuruje poważna cyfra, wynosząca z górą 45,000 rubli! Opowiadano też sobie w swoim czasie, że na całą tę sumę zarwał Towarzystwo jeden tylko spekulant-żyd, którego bankructwo było przecież znanem i wiadomem powszechnie, lecz który do ostatka swojej kariery miał się cieszyć — względami szanownego zarządu. Dlaczegoż jednak sprawozdanie nie dało żadnego wyjaśnienia?

Pojmujemy, że dla zarządów danych instytucyj system takiego, niemeo i ogólnikowego wykazywania w sprawozdaniach strat, może być rzeczą arcy wygodną; ale dla stowarzyszonych usuwa on wszelką niemal możność wyrobienia sobie jakiegoś krytycznego poglądu na kierunek działalności ich towarzystw. Czy te straty wynikają np. z faworyzowania pewnych sfer lub pewnych osobistości,

należących do... pewnych klik finansowych — czy też pochodzą one z przyczyn niezależnych od „dobrej woli zarządu“, czy, słowem, stowarzyszeni mogli uniknąć okradzenia, czy przeciwnie — o tem ze sprawozdań dzisiejszych najmniej nawet przybliżonego pojęcia wyrobić sobie niepodobna.

Drugą, niemniej krzyczącą niejasność w sprawozdaniach mógłby wskazać każdy, kto zwrócił uwagę na kwestyę e t a t ó w.

Tyle a tyle, taka a taka suma — powiada zarząd — potrzebną nam jest na utrzymanie biura i jego personelu — taką więc zebranie ogólne zatwierdzić nam zechce, lub też o taką a taką, na rok następny, podnieść etat ogólny. Bardzo to piękne i, pozornie, zupełnie naturalne; ale czyby nie właściwiej i nawet nie przyzwoiciej było, gdyby, obok tego żądania, stowarzyszeni mieli sobie przedstawiany s z c z e g ó ł o w y wykaz płac pobieranych przez personel biurowy? Wszakże najprostsza logika wskazuje, że jeżeli mam coś przyznać z własnej kieszeni — winienem wiedzieć najpierw, komu i dla czego przyznaję. Wprawdzie i w tym razie ta ogólnikowość cyfr dotyczących etatu, może być zgodną z interesami zarządów; tym bowiem sposobem można, bez wszelkiego krępowania się temi lub owemi względami, pomnażać grubo płatne synekury rozmaitych „członków rad“, „radców“, „zastępców“ i t. d., a przyzwyczajając natomiast do... poprzostawiania na... możliwie małym pracownikom faktycznych, ale nie jest to w zgodzie ani z zasadami prostej sprawiedliwości, ani też z interesem stowarzyszonych. Wydatki na ten cel wynoszą już dzisiaj sumy bardzo poważne; słusznaż więc, pytamy, jest rzeczą, aby zebranie ogólne nie wiedziało o ile wydatki te są właściwe, a przynajmniej o ile zasadnie są rozdzielane? — słusznaż jest rzeczą, aby stowarzyszonych sprawozdania roczne i pod tym względem nic nie objaśniały?

Przytoczyliśmy dwie tylko niedokładności sprawozdań tutejszych instytucji finansowych, a podobnych anomalij moglibyśmy spisać długi szereg.

I te przecież uwagi — jesteśmy tego pewni — na usta reżyserów i aktorów finansowej gospodarki warszawskiej wywołają uśmiech ironiczny... Gadajcie — powiedzą oni sobie — swoje, a my swoje robić będziemy. Oni bo przecież tak już przywykli do tej gospodarki i do uważania instytucyj z publicznego grosza powstałych za swoje niemal własne — iż są przekonani, że liczenie się z jakimiś tam prote-

stami i głosami jakiejś tam opinii, byłoby z ich strony dzieciństwem.

A jednak nie zaszkodziłoby tym szanownym dobroczyńcom i „podskarbinom narodu“ pamiętać, że zbyt ściśle wyciągnięta struna łatwo pęknąć może; — że stowarzyszonemu może w końcu sprzykrzyć się ta rola marynetek. W jakiej kilkunastu lub kilkudziesięciu członków zsolidaryzowanej klikie, utrzymuje ich stale i znanadto już długo. Jesteśmy też przekonani, że opozycja w łonie naszych towarzystw wzrasta i wzrastać będzie w miarę, jak na samowolną, bezwzględną gospodarkę klikie otwierają się oczy. Przyjdzie więc chwila, w której najwyższe instancje stowarzyszeń: zebrania ogólne zażądają ś c i ś l e j s z y c h rachunków i sprawozdań, a wtedy nieomieszkamy im przypomnieć racji słów naszych.

(d. n.)

LUD W ŚWIETLE JEGO RZECZNIKÓW.

(Dalszy ciąg.)

Możeby i dobrze było na poparcie poprzednio postawionych (Nr. 16) tez, przytoczyć i cytaty i nazwiska autorów, ale wstrzymać się od tego należy. Dziś bowiem powiedzieć komu: pomyliłeś się kolego, jest to narazić się na odpowiedź: kolega jesteś idiotą. Nieprzyjemna to rzecz dla tak kreowanego kolegi, ale daleko bardziej nieprzyjemna dla czytającej publiczności, postaram się więc jej uniknąć.

Lud, który nie jest nic winien; lud, który upija się z m u s u, kradnie z konieczności, próżnuje z a p a t y i, morduje i zabija z o b l ę d u, jakież to piękny materiały dla zwolenników optymizmu!

Więc tedy mamy owe tysiączne obrazy chaty i dworu w precudownej harmonii. Błogosławieństwo wymienne: sędziwy dziadec błogosławi młodą parę, Janka i Marysię; gromada płacze, — zacy Jakób błogosławi panienkę i pani-cza i t. d.

Wy, starce sędziwi już dzisiaj, coście kiedyś z dobrą wiarą myśleli znieść pokój na ziemię, — kędyż owoce prac waszych?

Kilkanaście tysięcy wiader wypitej okowity, kilka setek pudów zjedzonych kołaczy, a po za tem ta sama nieufność, niewiara, brak szacunku zobopólny!

Zaiste, takie pojmowanie i określanie ludu, to błąd — błąd w zasadzie uczciwy może, szlachetny, ale błąd.

On nie uzacni chłopca, nie uszlachetni go, — on tylko

ROMANS RUBINSTEINA.

NOWELKA

przez

Z O R Ę .

Nil novi sub sole.

Przy fortepianie siedział młody człowiek.

Ciemne jego oczy patrzyły gdzieś w dal, podczas gdy ręce przebiegały zwolna instrument, jakby machinalnie wygrywając poważną, piękną melodyę romansu Rubinsteina e s d u r. Pełne akordy brzmiały coraz głośniejsz; słycał tam było cichą skargę, to szept tajemniczy, to pytanie namiętne, przechodzące zwolna jakby w groźbę, krzyk rozpacz i przekleństwo, aby przebrzmieć w dźwiękach żalu i rezygnacji...

Pięknym jest romans Rubinsteina.

Młodzieniec był blady, a czarne, gorączkowym ogniem palające oczy zadawały kłam jego automatycznie spokojnej postawie.

Pozorny ten spokój istotnie pokrywać musiał burzę w duszy grającego, bo oto, zacisnął on usta kurczowo i fałszywym, zgrzytliwym dyssonansem urwawszy akord, wstał nagle od fortepianu.

Zmrok zapada na ulicy.

Matowe światło wielkiej, brązowej lampy, rzuca niepewny blask na duży pokój, urządzone skromnie, lecz ze smakiem i pewnym nieładem artystycznym, zdradzającym dobry gust urządzającego. Ciemno-zielone, aksamitne portyery zwieszają się u drzwi, kanapki i fotele zdają się zapraszać do spoczynku na ich miękkiej, aksamitnej zieleni. Szerokolistne fikusy i palmy ząbkowate odbijają się w wielkich, czarno oprawnych zwierciadłach. Obrazów, widoków niema tu wcale, natomiast w jednym rogu salonu, wpośrodku klombu roślin liściastych, bieleje posąg Wenery Medycyjskiej, każąc domyślać się we właścicielu tego salonu miłośnika starożytnego piękna, a nad kanapą, na najwidoczniejszym miejscu, wisi portret mężczyzny, dziwnie podobny do naszego młodzieńca...

Jednak, twarz na portrecie jest wesola, uśmiechnięta, oczy pogodne, patrzą z wyrazem spokoju i zadowolenia; — sobowtór ten stanowi dziwną sprzeczność ze swym oryginałem. A przecież ta sama to twarz: czarna, bujna grzywa okala to samo szerokie czoło; te same to badawcze, ciemne oczy, orli nos i pąsowe usta...

Czy ten człowiek znudzony, czy... nieszczęśliwy?

A może zakochany?...

Nie: stalowo zimny połysk oka i szyderczy zarys ust

na ostatnim punkcie żywotnej kwestyi ludu postawi sfinkso-wo tajemniczy znak zapytania — a wierzajcie mi, nie chłop, ale wy uderzyć się musicie w piersi z żalu, że społeczeństwo na to pytanie nie znajduje dotychczas odpowiedzi.

Wszakże nie dosyć było optymizmu. Podniósł się głośny krzyk, że ów lud ujęty w formę konwenansu, to tylko maryonетки, lub, co najwyżej, figury teatralne, komparsy bez siły, życia i akcji dramatycznej. Trzeba stworzyć lud, opowiadano sobie, lud żywy, z krwi i kości, lud plastyczny, na tle natury, i to raczej natury smętnej brązową barwą jesieni, aniżeli jaśniejącej majowych poranków blaskami.

I posypała się, jak z rogu obfitości, cała serya „naturalistycznych“ szkiców, obrazów, nowelli, w których z gumna przechodzono do chaty, a w chacie gospodarowano jak szare gęsi..., wedle znanego przysłowia. Zmierzone na centymetry chłopską poduszkę, nie bacząc jednak, czem ona jest wypchana; barłóg w przepysznych barwach widzieliśmy tam setki razy, ale nie zwrócono uwagi z czego ten barłóg się składa. Boć darujcie, ale owa nędza rzekoma ludu, inaczejby wyglądała, gdybyśmy się dowiedzieli, że poduszka wypchana jest gęsiem pierzem, a ów barłóg stanowią zwykłe grochowiny.

Wtedy nie mielibyśmy, co prawda, tragicznych obrazów nędzarzy konających na barłogu, ale zato dowiedzielibyśmy się wielu rzeczy ciekawych o ciemnocie tego ludu, który wśród względnego nawet dostatku cierpi więcej, aniżeli ostatni nędzarz proletariatu miejskiego.

Chłopskie garnki i miski zrewidowano starannie, starannie może niż nasze komisye sanitarne badają produkty żywności na targach, i dowiedzieliśmy się, że chłop żyje nędznie. Czarny chleb, licha strawa, zgłębiałe ziemniaki — to chleb powszedni według pisarzy ludowych; ale, na nie-szczęście, nie dojrżeli oni, że ten czarny chleb coraz — częściej wypieka się z pszenicy, że ta licha strawa jest okraszona taką ilością oleju lub słoniny, jakaby wystarczyła kilku mieszczańskim rodzinom, że zgłębiałe ziemniaki są wszakże dorodne i zdrowe, tylko gotują się raz na dzień, bo drugi raz nie chce się ich ani obierać, ani gotować.

I mielibyśmy, zamiast obrazów nędzy i rozpacz, obrazy niechlujstwa i lenistwa; więcej prawdy, ale mniej efektu — no, co prawda, mielibyśmy jeszcze, zamiast próżnego łamania rąk nad dolą chłopską, jakies popularne książeczki, zachęcające do pracy drobiazgowej i oszczędzania, a zamiast wstrętnej chaty chłopskiej, domek schludny i czysty.

Rzecz dziwna, a jednak nad wszystkie prace pisarzy ludowych więcej przynosi korzyści ludowi jeden zacny proboszcz. Dziwne to pozornie, ale naturalne w gruncie, albowiem ten proboszcz nie deklamuje, nie kreśli „realistycznych obrazów“ rzekomej nędzy chłopskiej. Ot, prosto, dwa razy na rok, raz przynajmniej, wejdzie do chaty, wypyta dzieci katechizmu, pacierza, wda się z chłopem w gawędę, nieraz zgani go ostro, że w chałupie brudno i duszno, że

zdradzają raczej stanowczy, panujący nad sobą temperament, który chociaż może czasem wybuchnąć ogniem namiętności, nigdy nie wybucha wskutek czułości serca, lecz — nerwów. Nie dziwny się temu. Chłodny skalpel nauki, ucząc analizować, wzbogaca umysł i doświadczenia zakres rozszerza, ale równocześnie wystudza serce i imaginacyi podcina skrzydła przejrzyście...

Nasz znajomy jest doktorem.

Piękny to zawód! Mieć w swym ręku tak wiele istnień ludzkich, — wywoływać uśmiech nadziei na lica zrozpaczonej matki, żony, lub siostry, — pasować się ze straszną, żelazną potęgą śmierci... — trudne to i zaszczytne zadanie! Lecz i tu jest odwrotna strona medalu. Ileż to skarg, nawet przekleństw, częstokroć niesprawiedliwych, ściga niemal każdego z uczniów Hippokratesa, jeżeli nie zdoła, nie może opanować choroby, lub, wezwany za późno, zastanie martwe jedynie szczątki tego, co przed chwilą jeszcze był tu, na ziemi, i odszedł już — na zawsze!...

Doktor Gustaw ma sławę, wziętość i stosunki. Kobiety zwłaszcza lubią go, bo je intryguje swym lodowatowytwornem obejściem i magnetyzuje pięknymi, czarnymi oczyma. Powinien być zadowolonym. Nie jest takim jednakże... Wśród najweselszej zabawy, naraz milknie, wzrok zachodzi mu mgłą, dreszcz nerwowy wstrząsa nim całym... Przychodzą na niego chwile smutku, zniechęcenia,

w brudnych garnkach kisiuje zimne niezdrowe jądło, i nim rok upłynie, w tejże samej chacie zachodzą zmiany; a rok po roku, kropla po kropli, i chata się zmienia do niepoznania, — odpowiada warunkom zdrowotnym, sprawia miły widok dla oka i błogą napelnia otuchą wędrowca, który tam spocząć przyszedł.

Wróćmy jednak do założenia.

Nie znamy ludu, bo jego rzecznicy przedstawili nam go w formie, co najmniej, paradoksu. A przedstawili go — nie znając zupełnie. Nie dosć jest wejść do jednej chaty, nie dosć spojrzeć powierzchownie po jej sprzętach, nie dosć wdać się w krótką gawędę z ostrożnym, podejrzliwym i milczącym chłopem, — nie; z nim trzeba całe życie obcować, aby go poznać, aby się nie dać uwieść pozorom.

I nie możemy się dosć nadziwić śmiałości tych panów, co nas z ludem obznajmiają, widząc na każdym kroku ich grubą nieznaną ludu. Poznać trafem, przypadkiem jedną chatę i wedle tej normy przesądzać cały ogół, to zda się niepodobne — a jednak tak jest w rzeczy samej. Ileż to czytaliśmy obrazów, które nas zdumieniem przejmowały, ile opisów cierpień, jakich nigdy nie było, bólów, jakich nikt nie doświadczał, łez, jakie z żadnych źrenic nie ciekły!

Powstał też z tego chaos, i jeszcze jaki chaos! Lud nieszczęśliwy, złamany, przybity, którego dzieci chodzą, jak powiada jeden z autorów, z obwisłymi brzuchami (rzecz, której żaden lekarz nie zrozumie), którego kobiety więdną przedwcześnie (żyją po lat 80, a nie rzadko w roku 50-tym wydają zdrowe jeszcze potomstwo), którego starcy leżą na barłogu (chodzą też „do cepów“ i innej, jak mówią, „polżejszej“ roboty w gospodarstwie).

Nie — to nie ten lud rzeczywisty, pełen sił i wad, pełen przyszłości; — to jakiś lud wykoszlawiony, schorzały, nic nie wart, lud który przyszłości nie może się doczekać dla braku sił żywotnych.

Nie chcę przesadzać; znajdzie się w tym szeregu obrazów czasami wiernie skopioną chłopska chata i chłopska natura, ale i gdzież tej prawdy wyszukać, jak ją wynaleźć w owym potopie paradoksów, nieprawdopodobieństw, lub stereotypowych nonsensów?

W końcu, przyznajmy iż z literatury ludowej — ludu nie znamy wcale; przedstawiamy go też sobie nieskończenie inaczej, aniżeli jest w rzeczywistości. Dobrej lub złej wiary w pisarzach nie trzeba przesądzać; co najwyżej, dostrzeżemy tu chęć wywołania efektu, gorączkę twórczą, brak obserwacyi. Otóż chyba i wszystko, co niewinnie składa się na parodyję życia ludowego, widzianą w blaskach nowych systemów i sposobów opowiadania „dziejów życia rodziny“.

Lud ubłogosławiony a schorzały i nienaturalny, — nie byłoby to jeszcze złe ostateczne w literaturze. Kiedys, i przyszłość, sądząc pisarzy, oceniając ich działalność, nie mogłaby zbyt surowo piętnować ludzi, których całą winą była niezupełna, a przynajmniej powierzchowna znajomość opracowywanego przedmiotu. Ale pisarze owi, sądząc lud

goryczy, jak oto i teraz. Czyżby jakie dawne a bolesne wspomnienie odezwało się w nim i zamąciło na chwilę stoicki spokój jego ducha?...

Doktor Gustaw niema czasu na wspomnienia. Zajęcia lekarskie, konsylia, wypełniają mu czas całkowicie — wspomnieniami się nie bawi — à quoi bon? — i choćby się poruszyła jaka struna ukryta w jego duszy, to zerwałby ją pewnie, aby mu nie raziła uszu swym fałszywym dźwiękiem.

Czy on kiedy kochał prawdziwie?

On sam na to pytanie nie umiałby odpowiedzieć. Przesunęło mu się przed oczyma wiele, wiele kobiet. W czasie podróży po Europie, widywał piękności rozmaite. Niejedna czarnooka córka Hiszpanii, niejedna Paryżanka zalotna, niejedna jasnowłosa miss angielska, ujrzawszy go, musiała myśleć o nim choć chwilkę. Posiadał on bowiem ten dziwny, magnetyczny wzrok, który zawsze na kobiety wywiera wpływ pociągający.

Próżny ten przecież i zarozumiwały człowiek pozostawał niewzruszonym na wdzięki pań powabnych, a udając podziw i zainteresowanie, studyował je na zimno i z amatorsstwem, jak naprzykład ciekawy naturalista bada jakiś okaz mniej mu znanego owadu, lub ptaka...

Raz jeden tylko zimne jego serce zabiło silniej. Ujrzał na balu uroczę zjawisko, w postaci złotowłosej dziewczyny, naiwnej, z sercem gorącym, a tak niedoświadczonej i tak

powierzchni, dopatrują istotnych jakoby powodów owych jego rzekomych niedoli i ztąd to wyrodziła się najokropniejsza z wad naszej literatury ludowej: *j e d n o s t r o n n a*, *n i e z r o z u m i a ł a*, *n i e o p a t r z n a t e n d e n c y a*.

Sądziłoby nawet można, że owe nienaturalne obrazy życia chłopskiego, jakimi nas pisarze ci raczą, to tylko wybujala fantazyja, tworząca ilustracyę tendencyjnej doktryny.

Jeżeli lud cierpi, powiadają ci pisarze, to musi mieć po temu jakąś przyczynę, a nie mogąc lub nie chcąc tej przyczyny odnaleźć, jęli się starej bajki o ciemieniu chłopca przez dwór i plebanie.

Sąd o tym grubym błędzie, jakiego już dobra wiara nie zdoła wytłumaczyć, należy do przyszłości. Nam dziś tylko wolno zaprotestować przeciw tak monstrualnemu zdaniu i śmiało wyrzec, że względnie biorąc, nic, ale to nic, krom fałszu, nie da się odnaleźć w owych opowiadaniach dzisiejszych czasów. Potężny to fałsz, przygniatający całym brzemieniem społeczeństwo.

Gdyby wierzyć tym strasznym oskarżeniom, jakie pewni pisarze miotają na rzekomych sprawców niedoli ludu, możnaby sądzić, że te klasy społeczeństwa, które pozostają w bezpośredniej styczności z ludem, są to jakieś legendowe upiory, żyjące krwią i łzami prostaczków.

A warto się temu przypatrzeć.

(Dokończenie nastąpi.)

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

(Dalszy ciąg.)

To znaczyło tyle co dziesięć milionów kontrybucyi.

Zkąd je zapłacić? Żyd znalazł się na dorędziu. Oświadczył on się z gotowością zaliczenia części tej sumy na rachunek Niemiec, tylko, ponieważ zwrot, jak łatwo zrozumieć, nie mógł nastąpić zaraz, byłby wziął niejako na jakiś czas kraj w administracyę, na rachunek zwycięzcy; byłby urzeczywistnił swoje marzenie zostania chociaż chwilowym panem tej ziemi obiecanej, która go tyle razy wyrzucała po za swoje granice, wzięcia Francyi w poddaństwo. Będąc potrzebnym niemcom poborcą, byłby poniekąd królował; byłby może pozyskał dla Rotszylda tytuł wicekróla. Wtedy wszyscy żydzi, wielcy i mali, byliby przyszli zasiąść u ogniska nie już tysiącami ale setkami tysięcy.

Rozkoszna ta perspektywa, którą p. Aleksander Weill, człowiek zresztą bardzo przyjemny, rozwinął pewnego dnia przedemną, byłaby się urzeczywistniła.

Francuzi, rzeczywiście godni tego miana, byliby się

ślepo wierzącej!... Poznał ją, podbił jej serce i wkrótce został narzeczoną. Zdawało mu się, że połączywszy się z nią, znajdzie szczęście, że to dziecko urocze ozłoci mu samotność, która nieraz dała się mu we znaki; uczuł naraz gwałtowną potrzebę kochającego serca, — serdecznego uścisku, któryby stopił lód jego duszy. Lecz uczucie to, jak nagle w nim się rozbudziło, tak też i przeminęło, wygasło tak, że on sam nie wiedział jak i kiedy. Helena (takie było imię narzeczonej doktora), czytając w jego sercu, jak w księdze otwartej, pomimo że wmawiała w siebie przekonanie o stałości Gustawa i ślepo, rozpaczliwie wierzyć mu usiłowała, pomimo że pragnęła jego miłości, — przekonać się musiała wkrótce, że miłość ta była tylko snem nocy letniej, bańką mydlaną, co pryska za najlżejszym podmuchem...

Helena była artystką — Gustaw uwielbiał muzykę. Grywali często razem. Ona była zwolenniczką surowych mistrzów szkoły niemieckiej: Mozart, Beethoven, Szubert, byli jej ulubieńcami; on lubił, działające na nerwy i zmysły, melodye włoskie Verdiego, lub śpiewne arye Rossiniego. Zastłuchany, zapatrzony w nią, upajał się dźwiękami płynącymi z pod jej białych rączek. Jedną szczególnie melodyą, romans Rubinsteina *e s d u r*, miała dla niego urok niewymowny. Pod jej wpływem oświadczył się o rękę. Helena kochała go od pierwszego wejrzenia, a była to jedna z tych

rozproszyli po świecie jak żydzi po zburzeniu świątyni, albo polacy po klęsce poniesionej przez Kosciuskę.

Masa byłaby pozostała, pracując pod groźbą kija, podczas gdy żyd byłby polował, słuchał oper Mayerbeera i operetek granych przez Judic.

Wielka sprawa, jeszcze raz, gdyż nigdy myśl równie olbrzymiej spekulacyi nie powstała w mózgu ludzkim.

Ta cudowna operacya nie udała się Gambecie.

Cóż ocaliło Francję opanowaną przez bandę intrygantów i wyzyskiwaczy, oszukiwaną, wyprowadzaną w pole, mistyfikowaną na wszelaki sposób?

Ocalił ją ten instykt żywotny, któremu tyle razy już zewdzięczała swoje zbawienie. Pozwalała wszystko mówić. Wszystko poczynać; krzyczała na ludzi którzy nią rządili: „Rabujcie, kradnijcie, handlujcie wszystkim“; ale wszelkim zachciankom wojennym przeciwstawiała siłę bezwładności, upartą, głuchą, niewzruszoną, na którą nie było rady. To poczucie zachowawcze nie pochodziło z intuicyi wyższej, było ono czysto zwierzęce; jak bydlę, czujące bliskość szlachtuza. Francya nie chciała postąpić ani kroku naprzód i nie ją do tego zmusić nie mogło.

Napróżno Gambetta urządził śmieszny manifestacyę pod Dulegno, jak gdyby Francya, której wydrto Strassburg, miała jakikolwiek interes w odebraniu tego miasta czarnogórcom a oddaniu go grekom. Nadaremnie podjudzał Grecyę do wojny, dając jej niby rękojmię że ją popierać będziemy, przez wysłanie śmiesznej missyi Thomassin'a. Nadaremnie wypowiadał wojenne mowy w Cherburgu; nikt ani nie drgnął.

Ani Francya śmiesznymi faufaronadami, ani Niemcy impertynencyami nie dały się poruszyć temu działaczowi żydowskiemu.

Francya jeszcze raz mogła się uratować, mogła postawić na swoim czele, w miejsce tych nizekzemnych drabów, którzy ją bezczeszcą i obdzierają, najuczciwszego z ludzi i najszlachetniejszego z królów, — ale nie chciała; ona także wołała Barabasza.

Wobec bezustannych prowokacyj Gabetty, które łatwo było przyjąć w znaczeniu, któreby było wojnę uczyniło nieuniknioną, mieszkawiec Warcena długo zapewne namyslał się nad kilkoma prawdopodobnymi hipotezami.

Francya mogła się ocknąć, jak za Joanny d'Arc, powstać nagle w chwili konania, wyrzucić zdrajców którzy ją stracili tak nisko, przywołać na pomoc króla i wygrać bitwę stanowczą.

Europa mogła się sprzeciwić zupełnej zagładzie i żądać aby była Francya. Lubo uszczuplony, naród ten, oświecony nareszcie, poznawszy sprawców swoich nieszczęść, mając jedną wiarę i jednego ducha, był niebezpieczniejszy od tej masy ogromnej, przystępnej dla każdego, uginającej się za wiatrem, kierowanej przez kilku podłych szalbierzy, w której niema żadnego węzła łączącego obywateli w za-

rzadkich natur, z tych „eaux dormantes“, cichych, łagodnych z pozoru, lecz których serce kryje skarby uczucia i namiętność gwałtowną. Pokochawszy raz, pokochała go — i na zawsze.

On spostrzegł za późno że mu jej miłość nie wystarczy, że nie obliczył się z sobą, oświadczywszy się tej istocie tak szlachetnej i miłej, której jednostajna słodycz nużyła go po trosze. To nie była dla niego towarzyszką. Jemu trzeba było gwałtownych wzruszeń, kaprysów wymagającej piękności, częstej utarczki na słowa — on był stworzony albo na niewolnika, albo na tyrana. Ona zaś królować nie umiała i nie usiłowała też nigdy. Dostyc jej było patrzeć w czarne oczy narzeczonego, słuchać jego dźwięcznego głosu i grać mu romans Rubinsteina.

Helena pierwsza jednak przeczuła swą omyłkę, wyczytała swój wyrok w rosnącej obojętności Gustawa; duma obrażona i godność kobieca obudziła się w niej. Rozeszli się, na pozór spokojnie, przyjaźnie, bez skarg i wyrzutów — lecz w kilka miesięcy Gustaw dostał telegram z wieścią o jej śmierci (mówiono że wskutek zaziębienia) i arkusz nut: romans Rubinsteina, który on tak lubił, z napisem: „Zegnam Cię, H....“ — i nic więcej.

Doktor Gustaw, wstawczy od fortepianu, stanął przed portretem i utopił w nim wzrok zamyślony. Zmarszczka zarysowała się na jego pięknym czole. To narcyzowe zajęcie

stęp ściśniony, w której tajemnice stanu są tajemnicami wszystkich pajaców izby, giełdy i ulicy.

Francya przykuta na żydowskim łańcuchu, aby zapłaciła okup, przedstawiała niebezpieczeństwo, i Bismark, który, bądź co bądź, po kulturkampfie, uznał że mniej upokarzającą jest rzeczą iść do Kanossy niż do Jerozolimy, nie miał ochoty oddać tak strasznej potęgi w ręce tej rasy napornej i łapczywej.

Wszystko to wpłynęło prawdopodobnie na decyzję Bismarka. Wielka sprawa nie przeszła z zakresu marzenia w fazę rzeczywistości.

Gdy wielka sprawa chybiła, Gambetta urządził małą wojnę tunetańską.

Widzieliście zapewne nieraz w opisach podróży te żydówki algierskie, nawpół leżące na poduszkach w głębi ustronnego pokoju w swoim mieszkaniu, trzymające ręce całe okryte pierścieniami, na wielkim, rozlanym brzuchu. Trapione otyłością już w trzydziestym roku życia, świecące się od tłuszczu, mają one już tylko jedną namiętność: widzieć zwiększający się ciężki naszyjnik z cekinów, który otacza grubą ich szyję.

Z jedną z takich żydówek, nazwiskiem Mussali, zdecydował Roustan, że trzeba wysłać na śmierć pewną liczbę naszych młodych żołnierzy, którzy pragnęli żyć, wysłużyć swój czas, wrócić do kraju, i zawodzić znów przy żniwie i przy winobranii wesołe piosnki, które kołysały ich dzieciństwo.

Czyż potrzeba opowiadać wszystkie te bezceństwa? Wyluszczone one zostały wszystkie przed sądem przysięgłych, podczas procesu wytoczonego dziennikowi „Intransigeant”. Marneffe tunetański otrzymujący za grzeszność dla kochanka swojej żony krzyż komandorski legii honorowej, szwagier, skazany niegdyś na dwadzieścia lat galery, poprzestający na krzyżu oficerskim i mający prawo odezwać się do naszych starych legionistów: „jestem waszym kolegą”, bezczelne kłamstwa Ferrego, twierdzącego do ostatniej chwili, że chodziło jedynie o poskromienie krumirów, którzy nigdy nie istnieli, miliony wydane w czasie gdy izby nie zasiadały, malwersacye, zdrzierstwa, ohydy wszelakiego rodzaju... są to rzeczy znane powszechnie.

Ogłoszono traktat, który Leon Renault przedstawił cynicznie bejowi w imieniu kilku żydów francuzkich.

Bej odpowiedział uczciwie: „My posiadamy wszystkiego sto milionów w złocie i srebrze w całej regencji, pan proponujesz mi, żebym wypuścił akcyj za pięćset lub sześćset milionów; więc albo oporzadzicie moich poddanych dając im papier w zamian za ich kruszec, albo okradniecie francuzów, którym nie mam żadnego powodu źle życzyć.

— Ano, skoro tak,—odpowiada Renault,—to wypowiemy ci wojnę!

— Wiem, że Francya jest wielkim i potężnym narodem, który prowadzi niekiedy wojnę o trącenie wachlarzem, ale nie wojuje ona nigdy o ažio. To byłoby naśladowa-

przerwał dźwięk dzwonka w przedpokoju i zaraz potem lokaj przyniósł na srebrnej tacy mały, zielonkawy bilecik, roznoszący naokoło silną woń magnolii. Skinieniem odprawił służącego i, rozerwawszy kopertę, wyczytał:

„Mon cher docteur!

Je m'ennuie à mort. Przyjdźże rozweselić pustelnicę. Czekam Cię.

Toute à vous

Césarine.“

Roześmiał się ironicznie i zmiął kartkę nerwowym ruchem. Od roku przeszło, odbierał on, mniej więcej, takie bileciki, na takim zielonkawym papierze, od kobiety, która go oplatała zręcznie siecią wdzięków i obietnic, — aby nie wypuścić więcej...

Była to rozwódka, piękna, czarnowłosa, śmiała, drażniąca go i szydząca na zimno, tyranka, słowem, stworzona na to, aby panować, ujarzmić i deptać... Cezaryna umiała opanować zimnego człowieka; nie kochając go, zmusiła aby on ją pokochał, i ta okrutna igraszka kobiety zalotnej, zimnej a wyrachowanej, trwała oddawna, zamęczając Gustawa, zmuszając — do pogardzania samym sobą...

O tak! Helena jest dostatecznie pomszczoną! — on to czuje, i gdy o zmroku zasiada czasem do fortepianu, ręce

niem żydów z mojej stolicy, którzy kłóca się o kilka piastrow.

— Właśnie że się mylisz. Żydzi tak pogardzani u ciebie, są panami u nas, a ponieważ nie chcesz ich z bogacim kosztem swoich poddanych, niebawem usłyszysz o mnie.

Wszystko to, jeszcze raz powtarzany, było wypowiedziane, wykonane, dowiedzione oczywiście na złość ostrożnościom przedsięwziętym przez żyda, Weil-Picarda, który powykupywał niektóre kompromitujące akta.

— Gdyby dwunastu przysięgłych oświadczyło pod słowem honoru iż uznają te fakta za prawdziwe, pierwszy zażądałbym, żeby Roustan zasiadł na ławie oskarżonych.

Tak mówił w przystępie cnoty prokurator generalny Dauphin.

— Wszystkie te fakta są prawdziwe, odpowiadamy za to honorem, — odrzekli przysięgli.

Ale Dauphin niczego nie zażądał.

Roustan powróciwszy po raz ostatni do Tunisu aby wziąć udział w bankiecie urządzonym przez *Alliance israelite universelle*, został następnie wysłany jako minister do Washingtonu, gdzie oprócz podwójnej pensyi pobiera... obelgi, któremi nie zaniedbują obrzucać go yankesi, ilekroć pokaże się na ulicy.

Myslicie może, iż po rozgłosie jakiego nabral ten proces, skandale ustana przynajmniej na chwilę? Nie znacie republikanów. Cambon jest dalszym ciągiem Roustana. Poprzednik jego brał kubany, on zaś robi ogromne interesa na stowarzyszeniu „Wód Tunetańskich“ i każe więzić radców arabskich, chcących sprzeciwić się tym zdzierstwom.

Historja posiadłości Mustafy jest do najwyższego stopnia pociesznym ustępem z dziejów finansowości. Wylądowawszy tutaj, biedny Mustafa, który był także lekkoduchem — wpadł odrazu w kałużę paryzką jak stary koń w bagno pełne pijawek. Nie mając grosza, uszczęśliwiony był, gdy mu bank zaatlantycki ofiarował milion i błogosławił Allaha, że mu pozwolił spotkać ludzi tak uczynnych. Zostawiono go przez kilka miesięcy w spokoju, ale w końcu zażądano zwrotu.

— Znajdź nam przynajmniej kogo — zaproponowano mu — coby dług twój poręczył.

Nieszczęśliwy nie posiadał się z rozpacy, gdy Voltevre i Alfred Naquet przyszli do niego i zaczęli mu opowiadać o pewnym towarzystwie filantropijnem, które zamierza wypuścić akcje na dobra, których nie posiada wprawdzie dotąd, ale które będzie mogło osiąść kiedyś w Tunetanii. Mustafa zwierzył się ze swemi kłopotami tym dwóm pocziwym żydom, a ci rzekli do niego: „My jesteśmy tymi, których ty szukasz, a ty jesteś tym, którego my szukamy. Ustąp nam swoje posiadłości, a my poręczymy za ciebie.

— No — pomyślał sobie Mustafa — ten Paryż to szczerzególne miasto. Wszystko w niem jest czego zechcesz. Z radością przyjął ofiarę poręczenia jego długu, co nowym jego

jego machinalnie wpadają na romans Rubinsteina, a wtedy staje mu przed oczyma postać biała, jasnowłosa, której łzawe, szafirowe oczy, spoglądają na niego z wyrzutem, jakby pytały: Dlaczegoś mnie łudził?... Dlaczegoś mnie odtrącił?...

Gustaw machinalnie obsunął się na najbliższej stojące krzesło, zacisnął ręce kureczowo, a po jego mężkiej, wyrazistej twarzy spłynęła łza... Czy za szczęściem, które dobrowolnie i niebacznie utracił, czy też...?

Siedział tak długo, z pochyloną głową...

* * *

W drugim pokoju wybiła godzina 8-ma.

Doktor Gustaw powstaje z krzesła jak automat, przywołuje znów sardoniczny uśmiech na usta, rzuca ostatnie spojrzenie na swój portret i na posąg Wenery, który zdaje się litośnie na niego spoglądać, bierze kapelusz i zarzuciwszy futro bobrowe, idzie... do pani Cezaryny.

A struny fortepianu drżą jeszcze ostatniemi dźwiękami mi romansu Rubinsteina...!

przyjaciółom przyszło tem łatwiej, że ci co mu grozili procesem i ci co się ofiarowali ratować go, byli jedni i ci sami, należeli do tej samej grupy finansowej.

Dla Mustafy jednak nie tu koniec kłopotów. Doznał on rozmaitego losu i rozmaicie był przez swoich żydów traktowany. Dopóki go potrzebowano, przechodził przez przedpokoje wśród ukłonów odzwrotnych, zasiadał na honorowym miejscu za stołem rady, nazywano go: Jego Ekscelencją generałem Mustafą ban Izmail. Później zaczęto przemawiać do niego lakoniczniej: „Cóż na to generał Mustafa?“. W końcu stał się napowrót, jak za czasów młodości, prostym b a n a b a k i e m, zaliczono go prawie do kategorii praktykantów kantorowych i wołano nań pogardliwie ode drzwi „Hej! Mustafa!“... Fez jego, już to tryumfujący, już zmięty i smutnie przyklepany, był istną historią jego przejść rozmaitych.

Położenie rzeczywiście nie było bardzo jasne. Dobra wartujące pięćdziesiąt milionów, które Sadyk podarował swemu faworytowi w chwili wezbrania uczuć, kiedy nie zawsze się wie co się robi, były to dobra tak zwane *habbu*, to jest nie mogące być ani sprzedanemi, ani darowanemi. Jedne należały do kolegium Sadiki, drugie stanowiły prywatny majątek rodziny bejowskiej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Idealy belletrystyki pozytywnej.

(Dalszy ciąg.)

W „dyplomacyi szlacheckiej“ powieści osnutej na tle stosunków poznańskich, wydaje Jeż prostą chałcziarkę, z bogactwem przypadkiem, za hr. Grackiego.

W „Ofiarach“ (Warszawa 1874 r.) oglądamy jeszcze ciekawszą galerię portretów szlacheckich. Książęta Gamajdowie, ojciec i syn, Norbert i Godfryd, umieją tylko „żreć“ (nie jeść), bo zmiatają z półmisków wszystko, zostawiając dla gości zaledwo skąpe resztki, i zamykać wszelką rozmowę w dwóch słowach „spodziewam się“... Podkomorzy nie potrafi wiele więcej, podkomorzyna należy do gatunku pospolitych intrygantek, podkomorzanka zapomina dla mioty o swej pierwszej miłości, a podkomorzyc trwoni bezmyślnie mienie ojców. Książd Korski, ex-jezuity, kapelan książąt Gamajdów, odgrywa w tej powieści rolę „czarnego charakteru“, a bohaterem dodatnim jest Kacper Mędziński, szaraczek, syn czynszownika, zrazu chłopiec kredensowy podkomorzyc, a następnie właściciel ich dóbr z łaski wielkiego losu, wygranego na loteryi, i... mąż księżnej Gamajdziny.

Takimi samemi typami jeży się powieść „Pod obuchem“ (Lwów, 1878), osnuta na tle stosunków galicyjskich. Hrabia Dzierżewski jest skończonym „idyotą“ małżonka jego zerem, a synalek, pan Alfred, aroganckim żydziakiem z dowcipem i instynktami szachraja.

Autor choć wspomina tu i owdzie zasady dziedziczości, nie tłómaczy, z kąd wziął się w rodzinie Dzierżewskich ten szczególny okaz, naszkicowany, jakby mu za model służył pierwszy lepszy szajgec z Nalewek. Każdy skutek musi mieć swoją przyczynę, a Jeż nie mówi, czy się Dzierżewscy skoligacili kiedykolwiek z semitami po mieczu lub po kądzieli.

Na kobiety spogląda zwykle Jeż okiem łaskawszem. W „Dyplomacyi Szlacheckiej“ otoczył względami Teklę Gracką, a w „Pod obuchem“ wyjął z pod kłatwy Julię Dzierżewską. Lecz i ona zmarniała, bo autor wydał ją za Jana Babtystę Wurskiego, który przypomina nikczemnością Kaliksta Grabę p. Orzeszkowej. Reszta postaci szlacheckich w „Pod obuchem“ (Dryndalski, Poltkiewicz, Wręba i t. d.) są albo niedośćkami, albo głupcami. Bohaterem dodatnim tego utworu jest bękart Hurski, dobijający się własną pracą stanowiska przyzwoitego. W „Opowiadaniu Stasia“ (Lwów, 1870 r.) odmalował Jeż młodego szlachcica, który rozsiewa krwawy grosz swego rodzica po bruku paryżkim i pasie pieczeniara Jacka Jakę Jakińskiego, zwącego się porucznikiem, kapitanem, lub—czem ktokolwiek chce.

Tę samą niechęć, lub nienawisć do szlachty odczuwa czytelnik prawie we wszystkich powieściach społecznych Teodora Tomasza Jeża, napisanych po roku 1863-im (Wrzeciono“, „Edward Kloc“, „Drugie Boże przykazanie“, „Nasi gdzie — niektórzy“ i t. d.). Autor nie tylko wybiera rozmyślnie i zestawia tendencyjnie same typy ujemne, lecz

przesadza wszędzie w rysunku, lubując się w karykaturach. Wady ceniuje bardzo starannie, zalety pomija lub ośmiesza. Żaden z belletrystów nie dorównał mu w tym względzie zaciekłością.

Czemże jest ten „szlachcic“ na którego pozytywizm wyłał tyle pomyj zmieszanych z sadzami?

Dawniej przed wiekami był szlachcicem człowiek wolny niepoddany nikomu, czuwający nad całością państwa, jako rycerz i obywatel. Stanowisko takie i zajęcie musiały wytworzyć w grupie ludzi zowiących się szlachtą, pewne im tylko właściwe cnoty i grzechy. Do pierwszych należy zaliczyć: miłość swobody, odwagę wojenną, poczucie godności osobistej, wyrażające się w drażliwości na obelgi, wspaniałomyślność, hojność, zmysł do spraw publicznych, do czego trzeba dodać wyłącznie polską dobroć serca; drugie obejmują także ilość dość znaczną, i zowią się: pycha, bezwzględność, lekkomyślność i nieopatrzność w interesach majątkowych.

W Europie zachodniej odznaczała się jeszcze szlachta kastowością, strzegącą zazdrośnie swych przywilejów przed resztą warstw społecznych. Zarzut ten nie odnosi się do szlachty polskiej, która otwierała chętnie podwoje swej korporacyi przed wszelką zasługą: czy rycerską, czy obywatelską. Wiadomo, że nigdzie nie było tak łatwo o uzyskanie godności szlacheckiej jak u nas. Żyd, który się przechrzczył, mieszczanin zamożniejszy, chłop odważny przekraczali bez oporu progi, dzielące ich od „królewiąt.“ Był czas, że każdy szlachcic miał prawo przybierać kogo chciał, do herbu—z czego dość często korzystano. Monarchowie uszlachcali wsiami i gromadami; patrzano nawet przez szpary, gdy się ktoś i bez pozwolenia wsunął między uprzywilejowanych. Wszakże uważał już Bartosz Paprocki za konieczne napisać „Liber Chamorów“.

Od tej tradycyi demokratycznej nie odstępowała szlachta polska nigdy i trzyma się jej dotąd. Ztąd zaś wynika, że niezmiernie u nas trudno wyróżnić właściwą szlachtę rycerską. Niewiele też stosunkowo rodów zdołało utrzymać się przez kilka wieków przy mieniu ojców... Gdybyśmy przypatrzyli się uważnie któremukolwiek z powiatów dzisiejszych, przekonalibyśmy się że mało nader z „szlachciców z dziada pradziada“ pamiętają czyny tych dziadów i pradziadów. Za to znalazło by się bez wątpienia dużo prawdziwych potomków rycerskich między ludźmi pracy umysłowej czy fizycznej, między „tłumem“ nie siedzącym na ziemi.

W innych krajach broniły tytuły dziedziczne szlachcie przed szybkim upadkiem. Książę, hrabia, baron, kawaler, żenił się łatwiej z bogatą chłopką, i nie potrzebował zstępować z wyżyn towarzyskich. U nas zaś był syn wojewody, kasztelana, podkomorzego i t. d. tylko „icem“ a wnuk jego nieczem, więc gdy nie posiadał majątku, a nie umiał sobie zaśleżyć na nowe beneficjum rozbierał się z litych pasów i jedwabnych kontuszów i przepadał, w szaraczkowym tłumie.

Z powyższych względów nie można ogarniać całego stanu ziemiańskiego, jak się to zwykle dzieje, ogólną nazwą szlachty, i nie wolno czynić rycerstwa odpowiedzialnem za wszystkie czyny dokonywane przez ludzi, mieniących się potomkami rodzin zasłużonych. Obecnie np. odbywa się u nas „przesuwanie kapitałów“ z rąk żydowskich do szlacheckich za pomocą „interesów“ małżeńskich. Z pięćdziesięciu kilku dotychczasowych „naszych zięciów“ wykwitnie w przeciągu lat dwudziestu pięciu niezawodnie kilkuset „arystokratów“, obdarzonych krzywymi nosami i „talentami“ antenatów ze strony matek. Ma się rozumieć, że pewien procent tych nowych „arystokratów“, zważywszy na „nie-spożyta siłę“ rasy semickiej, musi przynieść z sobą na świat instynkta przodków, którzy porobili wielkie fortuny w czasie... dziwnie krótkim, że ci nowi „arystokraci“ w najlegalniejszej zaopatrzeni dokumenta nie omieszkają kiedyś pójść śladami tych swoich poprzedników. Zapewne znajdzie się znów wówczas jaki postęp który zwali winy „rubelmacherów“, z tytułami i herbami na szlachtę wogóle.

Czy będzie to jednak słuszny wymiar sprawiedliwości?

Jeżeli gdzie, to u nas teoria o zupełnem zwyrodnieniu szlachty spotyka stanowczy opór. Prawie wszyscy utalentowani i zasłużeni ludzie chwili bieżącej, nie wyjąwszy najzagorzalszych postępców, i najskrajniejszych chłopomanów, pochodzą z krwi rycerskiej bezpośrednio lub pośrednio. Klasy średnie dostawiły pod sztandary publiczne bardzo nieliczny kontyngens, a jeszcze mniejszy żydowstwo. Bo szlachta polska nie zasklepiała się w granicach szczelnie zamkniętej kasty, bo „odświeża się“ ona ciągle nowemi żywiołami, które wciskają się do niej wszystkiemi szczelinami.

Maluczko, a h o m o p o l o n u s Jeża „z miny i czupryny“, na którego dość spojrzeć, aby się przekonać, że przodkowie jego nie posługiwali się łokciem i miarką, stanie się rzeczywiście białym krukiem.

Jeżeli hurtowne potępienie jednej warstwy społecznej na korzyść innych zasługuje na naganę ze stanowiska publicystycznego, to staje się jednostronność ta równie grzeszną, gdy obciąża sumienie artysty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA POSTERUNKU.

Zrobili swoje.—Złote owoce.—Kto je zbiera? — „Gospodarstwa kwitnące“. Niemiec i żyd. — Co błogosławią i czego sobie będzie mogła powinszować prasa.—Dwanaście pustek po „kantorach bankierskich“. — Nieporównana umiejętność lokowania funduszów.—Czy prasa „ostrzegła“ i dlaczego nie ostrzegła.—Wielkie, mądre idee i głupia rozpacz okradzionych.—Ciężenie ku jedności.—Projekt k o m p r o m i s u postępowców z konserwatystami. — Postępowa s w o j s k o ś ć i jej przedstawiciele. — O czym pan Dygasiński nie pomyślał i za co mógłbym ręczyć.

Krzyczeli, wrzeszczeli, aż zrobili swoje! Alarm na temat d e w a s t a c y i majątkości ziemskich, poczyna już wydawać złoty owoc—rozumie się nie dla nas. Złote owoce zbierać będą ci, dla dobra i pomyślności których wszystko: nawet łyzy, nieszczęścia, klęski i niedole ludzkie zamieniają się — w złoto. Biada tym, co by chcieli nabywać dobra wystawione na sprzedaż, zawołał pierwszy „Kraj“ z swolm „doktorem praw obojga“; — nie zostaje tam nic, oprócz nagiej ziemi i pustki! — zawtórowały inne organa „postępowe“; — szkoda pieniędzy na kupna podobne, krzyknęli inni jeszcze alarmiści usłużni, i dziś do licytacji nie staje już nikt — nikt, naturalnie, oprócz Moszków i Mordków. Oni mają całkiem już tutaj wolne, oczyszczone pole, i oni też jedni alarm — błogosławią. Wszyscy inni o stawianiu do licytacji dóbr subhastowanych nie chcą już ani słyszeć, boć przecie naczytali się tyle o pełnym wandalizmie wyniszczaniu majątków, o „pladze dewastacji“!

Tymczasem, nawet jedno z pism prowincjonalnych, które, s z y m p a n s u j ą c (zwracam uwagę na świeżość i obrazowość tego określenia) we wszystkich bezwyjątkowo-liberalne organiki warszawskie, i w owej wrzawie dewastacyjnej, czyli a n t i - s z l a c h e c k i e j, najżywszy udział brało, nawet „Tydzień“ piotrkowski oświadcza dziś wyraźnie, że w całej tej sprawie zainscenowanej szczęśliwie przez organ pana P i l t z a, nie wszystko było — prawdą.Nieprawdą jest—powiada naprzykład—aby już po żaden majątek wystawiony na sprzedaż nie warto było wyciągnąć ręki, jak się dziś wielu w p r z e d z o n y m (ha, ha... a któż ich to uprzedził?) wydaje“. I opowiada w dalszym ciągu owe pisemko krzykliwe wielce w kierunku „dewastacji“, jak na 15 majątków wystawionych na sprzedaż (w gubernii piotrkowskiej) pięć okazało się całkowicie (?) zniszczonych, parę „opuszczonych“, choć się w nich gospodarstwo prowadzi, a s z e ś ć było nawet w stanie kwitnącym — najwyraźniej k w i t n ą c y m. Nic to jednak nie znaczy. Po takie właśnie gospodarstwa kwitnące, „których niewypłatność stała się przydadkową“ i wywołaną ogólnym jedynie nieszczęśliwym stanem rolnictwa, po takie gospodarstwa wyciągną niezawodnie rękę, ale już nie rolnicy, no i nie polacy — przerażeni alarmem, u p r z e d z e n i przez prasę. Wyciągnie rękę spekulacja obca: niemiec albo żyd. Jeden tylko lub drugi chwyci „kwitnące gospodarstwo“ za pół darmo, a prasa, strażniczka dobra publicznego, będzie mogła powinszować sobie znaczenia, wpływu i zasługi wielkiej! I będzie znowu jeden więcej budujący dowód naszej bystrości publicystycznej w traktowaniu najżywotniejszych interesów społecznych — i będzie dowód, jak my umiemy krwią własną tuczyć pasożyta, a obdzierać siebie.

Tyłu bo przecież wzbogaciliśmy już Neumarków, tyłu najniegodziwszym „interesem bankierskim“ pozwoliliśmy się przez lat wiele okradać, że może nareszcie nawet naszej nieporównanej, bezgranicznej i niewyczerpanej... dobrodusznosci przebierze się już miarka. Czytam właśnie w dziennikach ciekawą i charakterystyczną wiadomość: po byłych kantorach „bankierskich“ stoi obecnie pustkami aż d w a n a ś c i e sklepów: na placu Bankowym 7, na Senatorskiej 2, na Krakowskim Przedmieściu 2 i na Miodowej 1. O ś m i u — dodają reporterzy — z tych panów „bankierów“, po zwinięciu szlachetnych swych przedsięwzięć, „wyjechało“ sobie zagranicę!

Krótko to, zwyczajna, reporterska wiadomość, a jednak, ileż w niej kwintesencji moralnej i pouczającej! Bo

proszę wskazać mi kraj, proszę mi wskazać społeczeństwo, gdzieby tyłu opryszków mogło nietylko prowadzić swe... rzemiosło, ale nawet cieszyć się z a u f a n i e m (!) i gdzieby ludzie umieli tak znakomicie lokować swoje oszczędności, jak to u nas się dzieje! Gdy mówi sąsiad do sąsiada, przyjaciel do przyjaciela, brat do brata nawet: bracie, ty masz gotówkę, ja mam przedsiębiorstwo, dla podtrzymania albo rozwinięcia którego potrzebuję jakiegoś tysiąca, pięciuset, lub bodaj trzystu rubli; pożycz mi, bracie, tych pieniędzy; gwarancję masz wszelką, procentu płacić ci nieomieszka, ty nie stracisz, a ja się uratuję. Gdy tak przemawia przyjaciel do przyjaciela, albo brat do brata — przyjaciel lub brat robi w tej chwili taką minę, jakby połknął kilka granów chininy — bez opłatka — i albo wykręca się od razu sianem, albo się „namyśla“ tak długo, dopóki przyjaciela lub brata nie zlicytują — lichwiarze. Ale gdy jakiś aferzysta, dla którego s z w i n d e l jest alfą i omegą spoldonego żywota, zakłada swój „interes bankierski“, wtedy jest wcale co innego. Wdowy i ludzie uznojeni w trudzie na chleb powszedni, uważają za rzecz najpilniejszą grosz swój, uciulany w jakiejś lepszej chwili na godzinę czarną, lub na uratowanie dzieci od rozsyпки — zanieść do takiej nory, ozłoczonej wielkim szyldem bankierskim. Pan „bankier“ nie żałuje anonsów o wielkiem przedsiębiorstwie — pyszni się przytem i nadyma, traktując swych klientów, jakby im świadczył dobrodziejstwo największe, a klienci niosą a niosą, niby jakimś starożytnemu bóstwu na ofiarę, ostatnią swą „krwawicę“. I kiedy nareszcie pan „bankier“, sył takiego lokowania funduszów, „wyjedzie“ zagranicę, wtedy dopiero „klienci“ łamią ręce lub topią się z rozpacz, a „Kuryery“, donosząc o tych zdarzeniach sensacyjnych, nie zaniebują zapytywać: czyż nie ostrzegła p r a s a ?

Przepraszam cnych kolegów po piórze, lecz z ostrzeżeniami temi, z ostrzeżeniami któreby, jak to jest obowiązkiem każdego, brukowego zwłaszcza, dziennika, palcem wskazywały szwindel i nazywały owych „bankierów“ po imieniu, mnie przynajmniej nie zdarzyło się spotkać. Prasa nie „ostrzegła“ i ostrzegać nie mogła, gdyż w takim razie sprzeniewierzyłaby się wielkiej idei o b y w a t e l s k i e j — idei jedności i braterstwa. Bo któż, pytam, są ci owi „bankierzy“? Czy między tymi o ś m i o m a, którzy uznali za właściwe złupić setki „klientów“ i „wyjechać“ na szerszy świat jest choćby jeden polak-chrześcijański? Nie; — wszyscy to tylko „polacy mojżeszowi“, a czyż dla jakiegoś tam jęku wdów i płaczu sierot, którym ów „polak mojżeszowy“ zabrał wszystko co miały, czyż dla rozpacz jakichś tam prostaczków, zacofańców niezdolnych pojąć najnowszego hasła postępu: walki o byt, warto jest burzyść gmach z g o d y z s y n a m i j e d n e j z i e m i a? Nigdy — przynigdy; niech raczej jedna „Rola“ spełnia tę anti-obywatelską, anti-polską (!) misję.

Zresztą, w tej chwili, wszystkie u nas żywiły ciążą tak widocznie ku złotej harmonii, że nawet wysoce wojowniczy „warszawski obóz postępowy“ nie stanowi wyjątku. Dowodem, pomieszczony w „Wędrowcu“ artykuł p. Dygasińskiego p. t. „Walka i kompromis“.

Dość tej walki postępowców z konserwatystami—czas już na kompromis, boć tu idzie o oszczędzanie marnowanych sił, o — samozachowanie.

Gruntem dla tego kompromisu, hasłem dla stron walczących winno być: „popieranie o ile się tylko da, zawsze, wszędzie i w każdym razie o swojskie“.

Takim jest sens moralny wystąpienia p. Dygasińskiego. W zasadzie, sens—przyznaję — zdrowy, ale niechajże przede wszystkim, pan D. z ręką na sercu (przypuszczam że i pozytywiści miewają czasem serca) odpowiedzieć mi raczy, czy ten postęp, co dłoń w dłoń z konserwatyzmem, ma popierać „wszystko co jest swojskie“ — jest sam s w o j s k i m naprawdę? Czy to jest postęp s w o j s k i, w imię którego taki naprzykład pan Haskel Biegeleisen bezceści duchowieństwo polskie, lub inny marny żydek obrzuca błotem szlachtę dlatego właśnie, że jest ona s w o j s k ą? I jeszcze jedno skromne pytanie: Kto w owym obozie postępowym reprezentuje najkrzykliwsze i i l o ś c i o w o najgłośniejsze siły? Ano—p o l a c y—alboż mało ich? Nussbaumi, Hirszbandy, Hirszbergi, Heringi, Hertze, Kramsztyki, Kirszrotty, Cohny, Biegeleiseny, Finkelhausy, Meyety, Goldschmidty, Grosglücki, Peltyny, Dicksteiny, Kaufmany, Kempnery, ba, nawet Karpęlesy, nie mówiąc już o Londyńskich, Korngoldach i innych, podrzędniejszych przedstawicielał s w o j s k i e g o (!), warszawskiego postępu. Tylko, niestety, nawet p. Dygasiński, mimo swych pojęć „liberalnych“ i „tolerancyjnych“, w takich p o l a k ó w i w taki postęp s w o j s k i bardzo chyba nie wierzy. A więc z kim

ów kompromis, którego hasłem byłoby „popieranie wszystkiego co swojskie”? Czy z tymi mianowicie, dla których zdeptanie, zbezczeszczenie i rozbicie właśnie „wszystkiego co swojskie” stanowi n a j z y w o t n i e j s z y interes i główny cel p o s t ę p u? Szkoda że p. Dygasiński nie pomyślał nad tem; byłby uniknął wygwizdania ucziwej w gruncie myśli, nie przez zachowawców—broń Boże!—ale przez przyjaciół najbliższych, przez samych postępowców. Bo że tak będzie, — mógłbym ręczyć z góry.

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Zapóźny koniec świata i mania samobójcza.—Samobójstwo Morgensterna. Miłość bez nadziei.—Nie warto żyć.—Jeżeli żyć to zdrowo, a więc recepta Boerhawa. — Inne sposoby przenoszenia się na tamten świat. — Wybuch fabryki nitrogliceryny pod Freibergiem. — Zamach na Bazaine'a. — Kolonizacya w Poznaskiem nie idzie. — Aresztowanie komisarza francuzkiego przez żandarmów niemieckich na pograniczu francuzko-niemieckim. — Rezultaty śledztw francuzkiego i niemieckiego. — Oświadczenie księcia Bismarka. — Znaczenie zajścia.—Postanowienie austriackiej rady ministrów.—Z izby deputowanych sejmu pruskiego.

Tyle razy straszono pocziwą ludzkość końcem świata, poczawszy od średnich wieków aż do dnia niemal wczorajszego, a ona biedaczka tyle razy przerażała się napróżno, że w końcu przestała wierzyć w te postrachy; dziś nawet uczone dowodzenia nie mogą uzyskać u niej wiary, i zdaje się jej, że ów ostateczny dzień nigdy nie nastąpi.

Niechże Bóg broni, żeby tak być miało! A tożbyśmy się pięknych rzeczy doczekali... Mnie się zdaje właśnie że ten świat już za długo istnieje, że się zanadto zestarzał, zdziwaczał, i że mu się naprawdę życie przykrzyć zaczyna. Proszę Państwa wytłómaczyć mi inaczej tę masę samobójstw, i to popełnianych przez coraz młodsze generacye pewnego rodzaju ziemskich żyjątek, zwanych ludźmi. Zdaje się, że niedługo dzieci na świat przychodzić będą z rewolwerami, żeby sobie mogły palnąć w łeb w trzy godziny po urodzeniu. I gdyby to jeszcze podobne monstrualności działy się wyłącznie na tym przeżytym zachodzie; gdyby tylko w takim nowym Babilonie nadsekwanskim, gdyby w Berlinie, który nie wytracił wprawdzie berła gustu ale wydarł berło zbrodni Paryżowi; gdyby wreszcie w lekkomyślnej, goniącej za użyciem, kokieteryjnie w pięknym modrym Dunaju przeglądającej się Vindabonie... Gdyby to zresztą działo się naprzykład w Hiszpanii, we Włoszech i t. p., gdzie pod promieniami południowego słońca krew wre i kipią namiętności... ale nie! Takie same objawy, w przestraszających rozmiarach widzimy w srodku oraz na wschodzie Europy, wśród narodów nie przeżytych bynajmniej.

Oto np. w takiej Pradze Czeskiej topi się dziennikarz tamtejszy Morgenstern, przynosząc śmierć w wodzie, nad śmierć z głodu. To jeszcze nic; ten samobójca miał przynajmniej tylko wybór między dwoma rodzajami śmierci, —ale z Moskwy np. donoszą do dzienników tutejszych, że tam wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie jakiś 21 letni mieszczanin, w którego kieszeni znaleziono kartkę taką: „Proszę nie obwiniać nikogo prócz mnie o śmierć moją. Miłość bez nadziei. Upraszam pp. reporterów gazetarskich, aby nie szukali innych przyczyn.“

Miłość bez nadziei!... No, to jeszcze brzmi przynajmniej jako tako... W dwudziestym pierwszym roku oddawna już ludzie we łby sobie strzelali; ale co powiedzieć o takich dwóch dzieczętach osmnastoletnich, w Tomaszpolu, które ni zład ni zowad trują się na piękne, a uratowane przez dość wczesną pomoc, mimo straszego przejścia oświadczyły apatycznie, iż „żyć nie warto!...“ Co myśleć o takim Sazanowiczu, uczniu klasy szóstej gimnazjum wiatskiego, z przesytu życiem—wyprawiającym się na tamten świat kulą rewolwerową?..

Czyż to nie są zastraszające pojawy, grożące światu, jeżeli się będzie upierał istnieć dalej, albo zupełnem wyludnieniem, albo zaludnieniem samemi waryatami, gotowemi każdej chwili pożegnać go i kazać mu pisywać do siebie na Berdyczów?...

Nie wiedząc o ile świat posłucha mojej rady co do rychłego zakończenia swojej egzystencji, tym, którym wypadnie kołatać się na nim jeszcze krócej czy dłużej, dla osłodzenia sobie tego pobytu przynajmniej jakim takim zdrowiem, radziłbym trzymać się przepisu d-ra Boerhawa.

Ten Boerhawe, był to słynny swego czasu lekarz holenderski, po którego śmierci w r. 1738, znaleziono między innymi papierami pakiet opieczętowany, z napisem: „Jedyna i najgłębsza tajemnica sztuki lekarskiej“. Wieść o tej paczce, w połączeniu ze sławą jakiej Boerhawe za życia

używał, sprawiły, że na licytacyę pozostałości po nieboszczyku mnóstwo zebrało się ludzi. pałających chęcią zdobycia owej cudownej „tajemnicy“. Szczęśliwy jej nabywca za 70,000 złotych holenderskich, anglik jakiś, otworzywszy pakiet, znalazł w nim czysty papier, — tylko na pierwszej kartce stało wypisane dużemi literami: „Trzymaj głowę zimno, nogi ciepło, nie zapinaj się, a możesz drwić ze wszystkich doktorów.“ Anglik ten żyje podobno dotąd, ale czy mu się nakład na receptę opłacił, czy życie jego warte było 70,000 złotych holenderskich, tego nie wiem; zdaje się jednak, że i anglicy dzisiejsi nie cenią życia swego tak wysoko jak dawniej, skoro wartość przepisu Boerhawa za 70,000 guldenów spadła na 2 funty szterlingi, za którą to cenę nabył go niedawno właściciel ziemski p. Kemble.

Oprócz mody dobrowolnego i rozmyślnego przyspieszenia swej podróży a d p a t r e s, wynaleźli ludzie mnóstwo przyjemnych sposobów, które ich całkiem niespodzianie na tamten świat wyprawiają. Do tej kategorii wynalazków należą takie biżuterje jak nitrogliceryna i dynamit. A właśnie fabryka tych łakoci, istniejąca pod Freibergiem, w Saksonii, wyleciała w tych dniach w powietrze. Wybuch nastąpił w skutek przypadkowego spadnięcia balonu czyli butli z nitrogliceryną; z budynków ani śladu nie zostało, a w odległym blisko o pół mili Freiburgu prawie wszystkie szyby powylały. Szczęściem robotników śnać niewiele było zatrudnionych, donoszą bowiem o zabiciu na miejscu tylko trzech i o czterech śmiertelnie rannych.

Nie udał się zamach na Bazaine'a, wykonany przez jakiegoś waryata francuza, który twierdzi, że mu Pan Bóg porucił misję pomszczenia Francji; jak gdyby Pan Bóg nie miał nic lepszego do roboty, jeno narzędziami swych celów robić jakichś tam komiwojażerów!... Pomsta Boża innemi chodzi drogami i nie potrzebuje uciekać się do ramienia mordercy.

Nie udają się różne rzeczy — nawet księciu Bismarkowi. Wielkie dzieło kolonizacyi Poznańskiego, jak o tem czytam właśnie w pismach warszawskich, — nie idzie! Na kolonie, na które podzielona została świeżo nabyta przez komisję kolonizacyjną wieś Szląskowo, nie znalazło się już podostatkiem kolonistów; ledwie połowę gruntów rozebrali jacyś przybłądy z pod Lignicy i Wrocławia. A przecie to dopiero początek... Co będzie dalej, skoro już teraz materyału niemieckiego nie staje?..

Na granicy francuzko-niemieckiej, w pobliżu stacyi kolei żelaznej Plagny zaszedł wypadek, który zwrócił na siebie uwagę całego świata politycznego. Dwaj żandarmi niemieccy, przebrani po cywilnemu, aresztowali pogranicznego komisarza policyjnego francuzkiego p. Schnaebelle i odstawili go do więzienia w Metz. Całe to zdarzenie napozór niby drobne, a jednak mogące za sobą pociągnąć daleko sięgające następstwa, dotąd wyjaśnione nie zostało. Nastąpiła wymiana depesz między Berlinem a Paryżem i z obu stron zarządzono śledztwo na miejscu; rezultaty atoli obu śledztw są sobie w głównym punkcie wprost przeciwnie; podczas bowiem gdy ze strony francuzkiej wykryto, że aresztowanie nastąpiło na ziemi francuzkiej, niemcy doszli do przekonania, że stało się to na terytorjum niemieckim. Francuzi twierdzą, że Schnaebelle został wprawdzie zaatakowany po za granicą francuzką, ale wyrwał się napastnikom, którzy dogonili go i pojęli już na terytorjum francuzkiem. Zresztą prokuratora z Nancy znalazła w papierach Schnaebellego dwa listy Gautscha, komisarza pogranicznego niemieckiego, w których tenże wzywa kolegę francuzkiego na poufną rozmowę na terytorjum niemieckim; Schnaebelle został aresztowany właśnie—udając się pieszo na tę schadzkę. Tymczasem kanclerz niemiecki kazał zastępcy ambasadora niemieckiego oświadczyć w Paryżu, że jeżeli się okaże, iż przy aresztowaniu Schnaebellego nastąpiło pogwałcenie terytorjum francuzkiego, każe natychmiast więźnia wypuścić; w przeciwnym razie rzecz pójdzie drogą procesu sądowego. Rozstrzygnięcie tej sprawy będzie ostatecznie kamieniem probierczym, czy Niemcy pragną wywołać wojnę z Francją, czy nie. Prasa obustronna wobec tego wypadku zachowuje się dotąd spokojnie zaniepokojenie zaś objawia się głównie w prasie postronnej, a mianowicie austriackiej, która obawia się, że Niemcy raz objawiający przekonanie, iż fakt spełniony został na gruncie niemieckim, nie zechcą odstąpić od niego.

Austriacka rada ministrów, odbyta w tych dniach pod przewodnictwem samego cesarza, upoważniła ministra wojny do użycia już teraz 9 milionów guldenów z 25 milionowego funduszu rezerwowego, który według pierwotnego przeznaczenia, miał być użyty tylko w razie ostatecznym.

Czyżby postanowienie to miało pozostawać w związku z obawą następstw wypadku pod Plagny?

Izba deputowanych sejmu pruskiego przyjęła znaczną większością projekt rządowy kościelno-polityczny, po trzech-dniowych rozprawach, podczas których książe kanclerz wielokrotnie głos zabierał. Centrum oświadczyło z góry, że ulegając życzeniu objawionemu przez Kuryę rzymską, głosować będzie za projektem; podobnie oświadczenie złożyli Polacy, przez usta księdza Jażdżewskiego.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

O Kraszewskim. Wszystkie pisma nasze podały szczegółowy opis odbytego w dniu 18 b. m. w Krakowie pogrzebu ś. p. J. I. Kraszewskiego, a illustrowane pomieściły już odpowiednie rysunki, przedstawiające ważniejsze chwile tej żałobnej uroczystości. Między innymi, „Tygodnik Illustrowany“ podał widoki świątyni w których się uroczystość odbywała, a nadto, na osobnym arkuszu dodano widok żałobnego pochodu po wyruszeniu z kościoła Panny Maryi.

Tygodnik „Życie“, poświęcając również ostatni swój numer prawie wyłącznie pamięci znakomitego pisarza, podał wiele interesujące, chronologiczne zestawienie jego literackiej i naukowej działalności.

I wszystko to, cała ta smutna chwila rozstania się na zawsze z nieodżałowanym nestorem pisarzy polskich, nosiłaby na sobie cechy tem większej, podnioslejszej, a obowiązującej w takich razach powagi, gdyby jej nie zamącały, niestety, pożałowania godne wybryki pownych pism pozytywnych. Oto bowiem, gdy w ostatnim znowu numerze „Prawdy“ — T. T. Jeż chce gwałtem Kraszewskiego zrobić, co najmniej, nawpół ateuszem i bezwyznaniowcem, „Przegląd Tygodniowy“ tymczasem pomieszcza fałszywe, na niczem, jak zwykle, nieoparte, doniesienie, że w „wielu stronach“ duchowieństwo „wyzyskuje modły za nieboszczyka“, że „z inicjatorami nabożeństw wyprawia nieprzystojne targi“ i „korzystając z prądu, chce zasilić i tak już dobrze nabitą swoją kiesę“ (!). Zaiście, czem jest to oszczerstwo brutalne, rzucone w chwili takiej i tak głośno, dowodzić nie potrzeba, zwłaszcza iż jeden króciutki komentarz wystarcza tu zupełnie: rzucił je i uroczystość chwili sprofanował nie kto inny, jeno mistrz i ojciec skandału w dziennikarstwie — p. Adam Wiślicki.

Bank ziemski w Poznaniu, jak donoszą dzienniki, przełamał już pierwsze lody i rozpoczął czynność swą od parcelacji folwarku o 700 morgach, należącego do majątności polskiej Naradowice, położonej pod samym Poznaniem. Pomiaru już rozpoczęto i w czasie właściwym interesowani włościanie będą mogli oglądać wytknięte parcele, do czego ich bank wezwie przez ogłoszenia w tamtejszych pismach ludowych. Parcele, jak zapewniają, znajdują wśród włościan polskich W. Ks. Poznańskiego nader chętnych nabywców.

Ważna decyzja. W gminie Kroczycach, w pow. olkuskim, gub. kieleckiej, zebranie gminne wydało uchwałę, na mocy której mieszkańcom gminy wspomnianej wzbrownionem zostało wynajmowanie mieszkań żydom, pod karą 25 rubli w każdym wypadku pojedynczym. Uchwała, jak wszystkie w tym rodzaju, które w swoim czasie zaznaczaliśmy w „Roli“, jest sama przez się ważną. Ważniejszą jednak jeszcze jest decyzja, jaką w tym razie dało prezydium gubernialne do spraw włościańskich. Mianowicie, prezydium to, usunawszy jedynie punkt dotyczący kar pieniężnych, całą uchwałę utrzymało w swej sile i zatwierdziło — wychodząc z tej, że wszec miar słusznej zasady, że gmina, we własnym interesie, ma prawo niedopuszczania osiedlania się jednostek nie mających stałego ani widocznego sposobu utrzymania, a przynoszących jej szkodę. Decyzja ta ma, podług nas, niezmiernie ważne i doniosłe znaczenie, dając rekojmie, że usiłowania, podejmowane w tym kierunku i przez inne gminy w Królestwie nie pozostaną bezowocną próbą. Na decyzję też tę chcielibyśmy zwrócić szczególniejszą uwagę wszystkich ludzi dobrej woli i inicjatywy, którym dobro ludu naszego leży szczerze na sercu. Niech w każdej gminie zapadnie taka uchwała i uzyska taką samą sankcję, jak uchwała kroczycka, a będziemy mogli mieć pewność, że z ludem przynajmniej tutejszym, nie stanie się to, co się już stało z nieszczęsnym ludem galicyjskim, — wyssanym, jak wiadomo, zdemoralizowanym i w dziedzinie zony w zupełności już niemal — przez żyda!

Dobroczynność publiczna. Towarzystwo pań Śgo Wincentego a Paulo ogłosiło drukiem sprawozdanie z czynności Towarzystwa za rok 1886, a 33-ci jego istnienia w Warszawie — napisane przez p. Ludwikową Górską jako przewodniczącą i hr. Hor-

tensę Małachowską — wiceprzewodniczącą. Ze sprawozdania tego widzimy, iż przychód roczny Towarzystwa wynosił ogółem rs. 12,294 kop. 75, rozchód zaś rs. 12,119 kop. 13. Z funduszu powyższego wspierano 994 rodzin, rozdając przeważnie żywność w naturze, odzież, lekarstwa, płacąc za ubogich komorne i t. p. Dodać przytem należy że Towarzystwo, obok pomocy materialnej, niesie tym biedakom swoim i moralną także. Panie bowiem do Towarzystwa należące, odwiedzają ubogich w ich własnych mieszkaniach, o ile to jest możliwe, stara ją się wprowadzać na drogę uczciwego zarobku tych, którzy do pracy są zdolni — a jednak wyciągają rękę i żebrają. Dobroczynność tedy, jak widzimy z tego, jest tutaj zastosowywana zarówno szlachetnie jak rozumnie, a instytucya, mająca do spełnienia takie piękne, prawdziwie chrześcijańskie zadanie, zasługuje ze wszec miar na poparcie ogółu. Serdecznie ją też ogółowi temu — polecamy.

Nowości wydawnicze. Z drukarni St. Niemiery wyszło znowu kilka prawdziwie pożytecznych i godnych rozpowszechnienia książeczek treści religijnej. Cztery z nich zawierają żywoty Świętych, a mianowicie: Św. Cecylii patronki muzyki, Św. Apolonii, Św. Wawrzyńca z Brindisi kapłana zakonu Kapucynów i Św. Benedykta Labra żebraka. Życie obu tych Świętych, kanonizowanych przez panującego obecnie Papieża, Leona XIII, skreślił czcigodny O. Prokop Kapucyn, znany zaszczytnie i niestrudzony na tem polu pracownik.

Oprócz tego, wyszła w czwartym wydaniu książeczka p. t. „Nowy miesiąc Maryi“, obejmująca nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny na miesiąc Maj, przez ks. Kleczkowskiego Kanonika gremialnego katedry sandomierskiej, oraz „Katechizm dla dzieci wiejskich sposobujących się do pierwszej spowiedzi i Komunii S-tej“ — przez ks. M. Majcherskiego, proboszcza parafii Jasiennica. Dochód ze sprzedaży książeczki tej ostatniej przeznaczonym jest na ozdobę kościoła w Jasiennicy.

Z prasy. Warszawska „Niwa“, polemizując z petersburskim „Krajem“ z powodu sprawy pana Waliszewskiego, przychodzi do konkluzji, którą powtarzamy tem chętniej, żeśmy już nieraz takie samo, mniej więcej, wyrazili zdanie.

„Czytelniczy Kraju“ — pisze Niwa — obznajmieni cokolwiek z kryjówkami dziennikarskiej polityki, nie od dziś spostrzegli, że na dnie całej publicystycznej pracy petersburskiego organu spoczywa głęboka niechęć do całego stanu ziemiańskiego, oraz do tradycyi szlacheckiej i wiary. Niechęć ta, ze względów oportunistycznych (czyli, mówiąc wyraźniej — wydawniczych przypis. red. „Roli“), maskowana jest pozorami troski o dobro publiczne, ale systematycznie zabarwia działalność „Kraju“, a tem jest niebezpieczniejsza, im głębiej ukryta, im w zręczniejszą osłoniętą formę. Sprawa pana Waliszewskiego ma tę dobrą stronę, że ujawniła to, co dotąd było ukryte i nie dla każdego widoczne.

„Kraj“ przecież — dodaje „Niwa“ — jako organ i nformacyjny, może być czytany z pożytkiem, jeżeli tylko nie będziemy tam szukali zasad i gruntu, na którymbyśmy przyszłość naszą budować chcieli.

„Informujemy się z „Kraju“, ale rozumiemy tendencję tego pisma, i niechaj nikt z nas nie czerpie ztamtąd „świeżego do oddychania powietrza“.

Sztuki plastyczne. Warszawscy rzeźbiarze i malarze przyjmą zbiorowy udział w wystawie krakowskiej.

Józef Brandt zajęty jest obecnie malowaniem wielkiego obrazu: „Atak polaków na wojsko szwedzkie“.

Z teatru i muzyki. W teatrze Letnim ma być wystawioną komedia p. p. Meinaux i Bisson, p. t. „Pod kuratelą“, w przekładzie p. Zygmunta Sarneckiego.

W Częstochowie zawiązuje się grono śpiewackie p. n. „Lutnia“.

W Krakowie wyszedł marsz żałobny, poświęcony ceniom ś. p. Kraszewskiego, a skompowany przez p. A. Wrońskiego.

La Russie Juive. Pod tym tytułem wyszła w Paryżu, w tłumaczeniu francuzkiem, książka Kaliksta Wolskiego: „Żydzi i Kahały“. Przekładu dokonał polak.

Zmarli: Ś. p. Andrzej Kochanowski, ostatni potomek, w prostej linii, Jana z Czarnolesia, zmarł w dniu 8 b. m. w dobrach własnych Kołacin w pow. brzezińskim.

Ś. p. Józefa Prusiecka, poetka, niegdyś jedna ze zdolniejszych autorek piszących dla młodzieży, zm. w Warszawie.

Ś. p. Amelia z hr. Pomian-Łubieńskich hr. Karolowa Krasieńska — zm. w Warszawie.

Ś. p. Dr. Ludwik Weryha-Darewski, współpracownik „Pamiętnika Lekarskiego“ i „Tygodnika Lekarskiego“ — zm. w Warszawie.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

28 Kwietnia 1887 r.

Na wszystkich rynkach zagranicznych ceny zboża trzymają się dobrze, dając stale ku wyższe.

W Gdańsku za pszenicę średnią płacono 8.10—8.20, wyborowa dochodziła w tych dniach do 8.40. Żyto polskie płacono 4.85—4.95. Groch polski 5.70—5.80 korzec.

Na targach warszawskich ceny zboża, biorąc przeciętnie z kilku dni ostatnich, tak się przedstawiają:

Na placu Witkowskiego za korzec pszenicy wyborowej płacono 8.15—8.25 a nawet 8.35, średniej 7.95—8.00, ordynaryjnej 7.50—7.60. Żyto wyborowe płacono 5.00—5.10 za korzec. Ceny owsa, przy nader ograniczonym dowozie, wyżkowe. Za korzec średniego płacono 2.80—3.15.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 134—137 kop. za pud, średnią 127—129, ordynaryjną 115—117. Żyto wyborowe 85—87, średnie 82—83. Jęczmień 89—91. Owies wyborowy 86—87, średni 82. Groch 92—95 kop. za pud.

W Odessie za pszenicę sandomierską dobrą płacono 131—133 kop. za pud, średnią 110—125, bessarabską 110—130, girkę 110—125. Żyto średnie 68—78. Owies 45—59 kop. stosownie do gatunku ziarna.

W handlu okowitą usposobienie mocne. W Hamburgu płacono w tych dniach na Kwiecień Maj 25, na Maj-Czerwiec 25½, na Czerwiec-Lipiec 26½, na Sierpień-Wrzesień 27 marek za 100 litrów. Na rynku warszawskim płacono za garniec w sprzedaży hurtowej 2.66—2.68 w detalicznej 2.70—2.73.

Na rynku cukrowym usposobienie i w tygodniu ubiegłym nietylko nie osłabło ale się wzmocniło. Płacono za najlepsze marki 3.07—3.08, kostki 3.00 mączkę 2.56 za kamień 24 funtowy.

Z targu prazkiego, jak również z rynków żywnościowych nie mamy do zaznaczenia żadnej zmiany ważniejszej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Rołnikowi. — Wyznajemy otwarcie, iż w artykułach naszych o delegatach przy Towarzystwach ubezpieczeń nie chcieliśmy, tej przykrej z wielu względów sprawy, podnosić; skoro jednak p. Jeziorański w replikach swoich usiłuje najwidoczniej zaciemnić prawdę, nie pozostaje nam jak rzecz tę, o której sz pan bardzo słusznie i z naciskiem takim w liście swoim wspomina, odświeżyć znów w pamięci ogółu i na stanowisku delegatów spojrzeć z innej jeszcze strony, czego też w odpowiedzi panu J. uczynić nieomieszkamy.

P. J. Betcher w Warsz. — Widzieliśmy to już; polemika jednak z onym wydawcą załkowym—nie dla nas. Dołączenia prospektu odmówiliśmy rzeczywiście, bo nie chcemy wcale, nawet w ten sposób, przyczynić się do protegowania spekulacji — wydawniczo-żydowskiej. I bez tego jest już jej chyba za wiele.

Pani P. R. w B. — Dzięki serdeczne za życzliwe poparcie.

Panu B. w Kot... — Owszem „Rola“ jest we wszystkich znaczniejszych cukierniach warszawskich; jeżeli zaś niema jej na stołach, wraz z innymi pismami, pochodzi to widocznie stąd, że serdeczni drą albo kradną niemile im pismo.

Panu P. Dyrektorowi cukrowni w K. — Z fabryk polskich polecić sz. panu możemy fabrykę E. Chrzanowskiego (Bielajska Nr. 16), która, o ile nam wiadomo, tak „siatki do centrifug“ jak i inne przedmioty niezbędne dla cukrowni, dostarcza po cenach możliwie niskich, co jej też głównie ułatwia konkurencję z firmami o których sz. pan w liście swoim wspomina. Sklepy polskie idą wszędzie dobrze; nie wątpimy przeto że i pańska inicjatywa osiągnie pożądany skutek. Sądzymy, iż ra. 2,000, jak na początek, będzie sumą zupełnie dostateczną.

P. K. r. w Sochaczewie. — Nadesłany materiał najchętniej zużytkujemy.

OFIARY.

Dla biednych podług uznania redakcyi:

P. p. J. i R. z Radomskiego rs. 9.

Na warsztat dla biednego stolarza.

„Podolanka“ rs. 3; P. S. z Częstochowy rs. 1.

REKLAMY.

Wyjątek z „La France Agricole:“

Newralgia przedstawia się pod najrozmaitszymi formami i może się gnieździć we wszystkich prawie częściach ciała. Z tego powodu niemożna się dziwić, że w tego rodzaju cierpieniach dotkliwych, zalecają nieskończoną ilość lekarstw.

Doktor Trousseau, który zajmował się bardzo racjonalnym leczeniem newralgii, scyatyki i migreny, utrzymuje, że najskuteczniejszym z lekarstw okazała się w praktyce esencja terpentyny.

Doktor Martinet oprócz tego potwierdza, że na 70 osób dotkniętych tem cierpieniem, udało mu się wyleczyć 50 za pomocą esencji terpentyny.

Ale pod jaką formą można używać esencji terpentyny? Doktor Clertan rozstrzygnął tę kwestję zdolawszy otoczyć cząstki jej lekką przezroczystą błonką, zapomocą której utworzył małe okrągłe kropelki, znane pod nazwą: „Perles de Térébenthine du Dr. Clertan.“

Dziś niemal każdy lekarz w wyżej przytoczonych wypadkach zaleca „Perles de Terebenthine du Dr. Clertan“,

w dozie trzech do czterech pigulek, przy każdym ataku. Doktor Trousseau przepisywał to lekarstwo pod tą właśnie formą. Dr. Clertan za wyrabianie tych Perel, pozyskał zaszczytne uznanie Akademii Medycznej w Paryżu. Perelki te sprzedają się we wszystkich aptekach. (30) 1 1

EKONOM

„na stół“ lub na ordynaryę zdolny gospodarz posiadający najchlubniejsze świadectwa, tak z Królestwa jak i z Poznańskiego, poszukuje obowiązku. Oferty uprasza się składać pod literami W. M. w redakcyi „Roli“. 3—1

Narzędzia miernicze

po zmarłym Jeometrze są do nabycia: Wiadomość Bielańska Nr. 9 (hotel Paryzki) w Czytelnii 2 gieł J. Jeleńskiego. 3—1

OGŁOSZENIA.

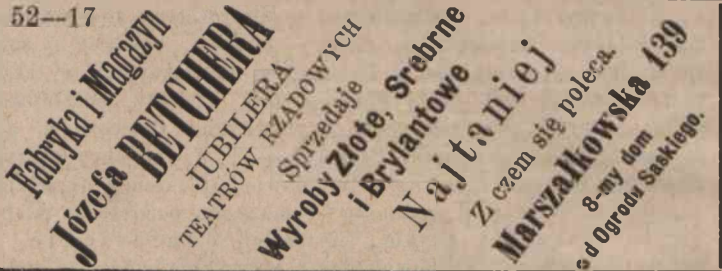
Główny Skład Dywanów

GIEŁZYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu).

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Kaldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

52—17



Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-17

i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielajska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.



A. GOBIEC — znany z sumiennego wykonywania robót, obecnie Marszałkowska 139 — przyjmuje, jak zwykle, wszystkie obstalunki, tak z własnych jak z łaskawie powierzonych materiałów, wykonującą pospiesznie i tanio. (6—2)

Nowo otworzona Fabryka Polska TKANIN METALOWYCH

oraz

Wszelkich Wyrobów Drucianych (52 26)

E. CHRZANOWSKIEGO,

W WARSZAWIE,

Bielajska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykoryli, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelni. Wszystkie przybory pszczelnicze. Sita do koniczyny białej i czarnej, specjalnie przesiewane, które oczyszczają babkę, kaonkę i szczawik; za sita te, mimo konkurencji, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do koniczyny czarnej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kakaolu i kostrowy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łóżek, arfy do ziemi i żwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rasy, oraz wszelkie wyroby galanterijne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i paryzkie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Podła francuzkie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłobów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885. DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU. MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług największych żurnali (13-4)

Koronki, Żaboty, Wstążki, Garniowania do Sukien, Woalki, Rękawiczki jedwabne, Kołnierzyki i Mankiety damskie i dzieciinne, Chustki płócienne batystowe, koronkowe, do nosa. Pończochy damskie i dzieciinne, Kamasje wełniane, Halki kortowe i trykotowe, — poleca w wielkim wyborze po cenach niskich!!!

MAGAZYN BIELIZNY MEZKIEJ

A. KIERST i S-ka

5. Bielańska 5, — vis-a-vis Daniłowiczowskiej.

Wszelkie zamówienia z prowincyi uskuteczniamy odwrotną pocztą, franco. Ceny niskie.

26—3

SKŁAD MEBLI 13-8

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

J. TUROWSKI MALARZ-DEKORATOR ROBÓT KOŚCIELNYCH I POKOJOWYCH ORAZ WSZELKIEGO RODZAJU ROBÓT ZWYCZAJNYCH. (52-15)
Nowy-Świat Nr. 23.

**„ZŁOTY UL“
FABRYKA PIERNIKÓW**

w Warszawie, — Nowy-Świat Nr. 7,

poleca:

Pierniki słodowe, Chleb miodowy (Pumpernikel) zalecany zagranicą przez lekarzy na wszelkie dolegliwości żołądka, oraz cierpienia hemoroidalne; — ułatwia trawienie u osób słabych i wątłych dzieci.

Fabryka nabywa miód wprost od producentów, w każdej ilości po cenach targowych, oraz miody do picia. (52-8)

PŁASZCZE GUMOWE
dla Dam, Mężczyzn i Dzieci
KUFRY, WALIZY, TORBY

oraz
wszelkie przybory do podróży
poleca

**FABRYKA
T. L. BREYMEYER, Warszawa**
Królewska Nr. 1 róg Krak. — Przedm.

52-36

Biszkopty, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.

Róg Marszałkowskiej
i Zielonego Placu.



Róg Marszałkowskiej
i Zielonego Placu.
(12—4)

Cukry deserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

Zakłady Wapienne

SULEJOWSKIE I OPOCZYŃSKIE

firmy

„JÓZEF BANDURSKI i S-ka“

Określiwszy przymioty naszego wapna, w poprzednich ogłoszeniach, więcej teoretycznie, przy zaznaczeniu ilości i sposobu produkcji oraz załączeniu szczegółowych analiz, wykazujących na 100 części 99%, czystego wapna; niniejszem zwracamy uwagę, na fakt stwierdzony w praktyce, przez pp. Budowniczych, Majstrów mularskich i Przedsiębiorców że wapno nasze prócz wielu cennych przymiotów, wrobocie jest tak tłuste i wydajne, iż po zlasowaniu go i użyciu do robót, przyrost wykazuje się co najmniej 25% więcej w porównaniu z innymi (do 1000 cegieł użytej do muru z wyprawą, potrzeba użyć innych marek 2¹/₂, do 3 ch korcey, naszego zaś nigdy więcej nad 2 korce) zatem do kalkulacji ceny, tę różnicę, należy brać w uwzględnienie, z czego wypada, że wapno nasze nie tylko jest najlepsze ale i najtaniejsze!

Konkurencya znając te przymioty podszycia się pod miano Sulejowskiego, ze sprowadzaniem **posledniejszymi markami** (najwięcej kolorem zbliżonemi do Sulejowskiego) rekomendując je za Sulejowskie węglem palone i jakoby z naszych zakładów pochodzące, objaśniając przytem w naiwnej nieświadomości, że wapno wypalane drzewem lepsze jest od wypalonego węglem (!!) dyskredytuje tym sposobem nasz produkt i wyrządza nam krzywdę! W obronie zatem własnego interesu, nie możemy tych manewrów konkurencyjnych, skierowanych nie tylko na naszą szkodę ale i ogółu interesowanego, pokrywać milczeniem i dla tego niniejszem ostrzegamy kogo należy.

Wapno przez nas produkowane, wysyłamy na wszystkie Drogi Żelazne, za gotówkę, lub zaliczenia kolejowe (naclnahme). Zamówienia przyjmuje kantor nasz w Warszawie Okopowa № 10. Tamże zamawiać można: **CEMENT, GIPS, CEGŁĘ i GLINKĘ** ogniotrwałą, **TRZCI-NE** i t. p. 0—9

J. SPORNY, Inżynier. 16-5

WARSZAWSKIE

**PRZEDSIĘBIERSTWO ASFALTOWE
i FABRYKA TEKUR.**

poleca:

Asfalt (mastic) tekturę do krycia dachów i lak asfaltowy, smołę oczyszczoną bitum i gudron, oraz wykonywa roboty asfaltowe, dekarskie i betonowe po cenach nader umiarkowanych.

Oprócz zwyczajnych tektur do krycia dachów w różnych gatunkach, Przedsiębiorstwo produkuje **tafle izolacyjne** (isolirplaty) i wszelkie materiały potrzebne do krycia dachów, jako to: listwy trójkątne, paski, gwoździe i t. p.

Przedsiębiorstwo poleca również wyroby z betonu mianowicie: **chodniki w monolithach, rynsztoki i burty.**

Zamówienia przyjmują się w Kantorze Przedsiębiorstwa w Warszawie, ulica Erywańska (Plac Zielony) Nr. 14.

JAN CHRUSZCZYŃSKI
Stolarz 12-6

róg ulic Mazowieckiej i Ś-to Krzyżkiej Nr. 22,
w Warszawie,

poleca w wielkim wyborze urządzenia pokoi sypialnych, jadalnych — i na zamówienia.

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyzkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, — Kotnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. — Kalesony, Skarpetki i Szelki, — Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. — Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. — Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane

D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—32

BUSKO

Zdroje Siarczano-Solne—Jod. Brom i Sól glauberską zawierające.

KĄPIELE Z WODY MINERALNEJ I Z MUŁU MINERALNEGO.

Sezon trwa od 8/20 Maja do 8/20 Września.

Droga: do Kielc Koleją Żelazną — z Kielc do Buska powozy prywatne i pocztowe.

Zdroje buskie zalecane są: w skrofulach, reumatyzmie, artretyzmie, chorobach skóry—błon śluzowych, nosa i krtańi—w wysiękach pozapalnych, szczególnie w stawach, w cierpieniach kości, w chronicznych zapaleniach macicy, w cierpieniach wątroby, w porażeniach, w przymocie (syphilis) w zatruciu merkurjuszem. Orkiestra — czytelnia — gazety — Teatr — Wieczory tańcujące — Restauracja Zakładowa pod nadzorem Zarządu Wód. — Obiady wspólne (Table d'hote) i na poręce—kawa—herbata. — Stacya pocztowa i telegraficzna w miejscu. (6—1)

HURTOWO-DETALICZNY

SKŁAD WYROBÓW TABACZNYCH

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S^{KA}

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

10—1

Poleca:
wielki wybór cygar, tytoniu i papierosów, z wszystkich fabryk rosyjskich i miejscowych, oraz gilyz własnej fabryki, z prawdziwej francuskiej bibulki „ABADIE”.

Dla P. P. Handlujących odstepuje towar na najkorzystniejszych warunkach.

Cenniki
na żądanie franco.

SKŁAD PŁÓTNA, HAFTÓW I BIELIZNY A. W. WILCZEWSKIEGO

Egzystujący w ciągu lat 22 w gmachu Resursy Obywatelskiej,
przeniesionym został na ulicę **Nowy-Świat Nr. 57**

i poleca w znacznym wyborze :

PŁÓTNA ręczne, na trawie bielone,	od rs. 16,00	sztuka
prześcieradłowe	0,50	łokieć
GARNITURY na 6 osób	4,50	„
„ „ 12 „	9,50	„
„ „ 18 „	32,00	„
„ „ 24 „	45,00	„
PRZESCIERADŁA bez szwu	1,00	„
REZNIKI	4,50	tuzin
SKARPETKI	4,50	„
PONCZOCHY	7,50	„
KAFTANIKI	1,20	sztuka
CACHENEZ jedwabne	1,20	„

do najwyższych gatunków.

KOSZULE męskie, znane z wyborowego kroju	od rs. 1,65	sztuka
CHUSTKI płócienne	3,00	tuzin
KRAWATY męskie	0,25	sztuka
FIRANKI angielskie	0,28	łokieć
PERKALE	0,10	„
POLPŁOTNA na łokiecie	0,15	„
POLPŁOTNO na sztuki	4,00	sztuka
DYMKI	0,17	łokieć
BARCZANY	0,20	„
MUŚLINY	0,45	„
KOŁDRY pikowe	7,50	para

do najwyższych gatunków.

HAFTY francuskie i szwajcarskie, w wielkim wyborze. — BIELIZNA gotowa damska i męska. — NEGLIŻE. FIRANKI odpasowane, etc. etc., od cen najniższych.

Cale wyprawy wraz ze znaczeniem od rs. 200.

CENY ŚCIŚLE STAŁE.

3—1

Dla kaszających i osłabionych
EKSTRAKT i KARMEKLI miodo-ziółto-słodowe

Fabryki „LELIWA“,
w Warszawie, ul. Zgoda Nr. 6,

analizowane i uznane przez Radę Lekarską. Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie, 50% tańsze od niemieckich, faszka ekstraktu kop. 75, paczka karmeków kop. 15. 52—12

Statki Parowe Polskie

„MAZUR“ i „KRAKUS“

odchodzą codziennie z Warszawy o godzinie 8 mej min. 30 rano; z Płocka o 6-tej rano. (6—1)

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S^{KA} (52-16)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Treść numeru: Gospodarka finansistów warszawskich (Serya III) VII.—Lud w świetle jego rzeczników (d. c.).—Francya żydziła (d. c.).—Idealny belletrystyki pozytywnej (d. c.).— Na posterunku, feljton Kamiennego — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia. — W odcinku: Romans Rubinsteina, nowelka, przez Zorę.

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński**. Дозволено Цензурою.—Варшава 16 Апрелья 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)